

Hrabyk, Klaudiusz

"Polacy w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945-1949", Wiesław Hładkiewicz, Zielona Góra 1982 : [recenzja]

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 23/2, 121-125

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

obszerna publikacja daje podstawę — źródłową, dokumentacyjną, bibliograficzną — do prowadzenia w różnych zakresach dalszych i bardzo potrzebnych badań nad funkcjami społecznymi i wychowawczymi czasopiśmiennictwa dziecięcego i młodzieżowego w dobie współczesnej.

Józef Z. Białek

Wiesław Hładkiewicz, *Polacy w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945—1949*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, 1982, ss. 139.

Świeżo wydana książka Wiesława Hładkiewicza stanowi wydarzenie raczej do-
syć rzadkie w literaturze poświęconej zagadnieniom emigracji współczesnej; po raz
zaś w ogóle pierwszy otrzymaliśmy omówienie problematyki polskiej emigracji
powojennej w trzech strefach okupacyjnych w b. Trzeciej Rzeszy. Ze zdumiewa-
jącą obojętnością unika się tego tematu, aczkolwiek stanowi on przecież nie naj-
mniejszy fragment całości losów polskich po II wojnie i reprezentuje pod wieloma
względami bogaty i charakterystyczny zespół zjawisk składających się na cało-
kształt wielkiego dramatu polskiego w okresie powojennym. I dlatego należy wy-
razić uznanie Wydawnictwu Wyższej Szkoły Pedagogicznej, że objęło patronat nad
pracą Hładkiewicza, wydając jego ciekawą publikację.

Fragment jej obejmuje m.in. zagadnienia związane z prasą wydawaną w la-
tach 1945—1949 na terenie ówczesnych trzech stref okupacyjnych b. Trzeciej Rze-
szy; znajdowało się na nim w pierwszym, bezpośrednio powojennym okresie ok.
1 mln 200 tys. Polaków. W kilka lat później, w następstwie repatriacji do
Polski, ilość ta zmalała do ok. 113 tys. osób, które zdecydowały się pozostać na
emigracji trwalej i stałej. Książka W. Hładkiewicza analizuje wszechstronnie róż-
nicowania strukturalne wysiedleńców polskich, kategorie tej ludności, geografię
polskich skupisk, warunki socjalno-bytowe, strukturę demograficzną i społeczno-
zawodową. Interesujący jest także rozdział omawiający rolę administracji mię-
dzynarodowych, decydującą w znacznej mierze o losach ludzi nie tylko pozostałych
po zakończeniu wojny na obszarze obcym, ale doświadczonych tragicznie ze strony
niemal całej ludności niemieckiej i jej hitlerowskiego, ludobójczego kierownictwa.
Również nader interesujące są fragmenty książki dotyczące rozdarcia, jakie po-
wstało w środowisku polskim w Niemczech, w ich zachodnich strefach, na tle pro-
blemu: wracać do Polski czy pozostać poza jej granicami? W zdecydowanej więk-
szości wypadków zwyciężyła koncepcja powrotu do kraju rodzinnego, uwolnionego
od okupacji hitlerowskiej. Pozostała część wysiedleńców podjęła życie w nowych,
niełatwych warunkach na ziemi niemieckiej i w masie rozrzuconej w większości
po licznych obozach przetrwała do roku 1949, kiedy nastąpił masowy *exodus*
z Niemiec do krajów zamorskich, głównie Stanów Zjednoczonych i Australii, w
mniejszym procencie do Anglii, Francji i innych krajów europejskich.

Dzieje tej części emigracji polskiej w Niemczech zachodnich w latach 1945—
1949 są kanwą kilku rozdziałów omawianej tu książki, a wśród wielu dziedzin ży-
cia wysiedleńców na ziemi niemieckiej, w jej zachodnich sektorach, omówiony zo-
stał także problem prasy polskiej na tym obszarze. Jest to — obok sprawy szkol-
nictwa polskiego na tym odcinku, jak i licznych wydawnictw książkowych — frag-
ment najbardziej pasjonujący i zdumiewający ze względu na rozmach inicjatywy
społecznej wykazanej przez środowisko polskich tzw. dipisów.

Zjawisko to przypominało żywo okres podziemia antyhitlerowskiego w kraju,

kiedy to prasa podziemna mnożyła się jak grzyby po deszczu, przy czym była to prasa niekontrolowana ani nie inspirowana przez określone ośrodki dyspozycji, jeśli nie liczyć mniej lub bardziej luźnych ośrodków typu partyjnego i kościelnego; większość tej prasy w Niemczech zachodnich wywodziła się z inicjatywy ludzi prywatnych, nie powiązanych z żadnymi ośrodkami politycznymi czy jakimikolwiek innymi.

Autor książki poświęcił temu zagadnieniu dość sporo miejsca i jakkolwiek nie wyczerpał oczywiście jego całości, stworzył mimo to przejrzysty obraz sytuacji na tym odcinku, niewątpliwie otwierając drogę do dalszych badań i omówień tego fragmentu życia polskiego w Niemczech powojennych.

Geneza prasy polskiej w Niemczech powojennych, w ich strefach zachodnich, miała charakter spontaniczny, klasycznie oddolny, przez nikogo z góry nie inspirowany ani organizowany. Inicjatorami byli w znacznej części zawodowi dziennikarze, ale ogromna liczba — kto wie, czy nie większość — inicjatyw na odcinku prasowym pochodziła ze strony ludzi z prasą dotąd nie związanych, i to było również znamioną cechą tego zagadnienia. Nie bez racji określa więc Hładkiewicz to zjawisko jako fenomen wydawniczy. Już pod koniec roku 1945, tj. w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy po zakończeniu II wojny, na terenie trzech zachodnich niemieckich stref okupacyjnych wychodziło — jak pisze — ponad 100 czasopism polskich. Wedle obliczeń Jana Kowalika, znanego i zasłużonego badacza dziejów prasy i wydawnictw emigracyjnych po II wojnie, w latach 1945—1949 ukazało się w Niemczech ok. 400 czasopism, co prawda w większości powielaczowych w postaci biuletynów obozowych lub gazetek ściennych, ale było wśród nich co najmniej kilkanaście lub więcej gazet z prawdziwego i poważnego zdarzenia, stanowiących chlubę prasy polskiej. Były wśród niej dzienniki, tygodniki, dwutygodniki, a nawet miesięczniki.

W niespełna rok po zakończeniu II wojny powstały w Niemczech zachodnich, w ich strefach okupacji amerykańskiej i brytyjskiej, dwa syndykaty dziennikarzy polskich, które skupiły dziennikarzy zawodowych i niezawodowych, ale czynnych przy redagowaniu prasy. Dlaczego dwa syndykaty, a nie jeden, jak by dyktował zdrowy rozsądek i realna sytuacja nakazująca skupianie, a nie rozpraszanie sił społecznych? Problemu tego autor książki nie rozważa ani nie rozstrzyga i dlatego warto może dodatkowo go tu oświetlić.

Inicjatywa utworzenia pierwszego Syndykatu Dziennikarzy Polskich w b. Trzeciej Rzeszy (bo tak się ta organizacja w początkowej fazie swego istnienia nazywała) była typowo oddolna, absolutnie przez żadne czynniki „odgórne” nie inspirowana ani wspomagana. Podjąłem ją późną wiosną 1945 r., będąc w tym czasie tzw. delegatem polskim w Helmstedt, na samej granicy strefy brytyjskiej i radzieckiej, sprawującym dosyć iluzoryczną, ale przez okupacyjne władze brytyjskie uznaną rolę przedstawiciela stu tysięcy Polaków w rejonie Magdeburga (jeszcze w tym okresie okupowanego przez armię brytyjską) do rejonów Braunschweigu (Brunświku). Nie mając żadnego kontaktu ani z przedstawicielami rządu londyńskiego, rezydującymi wtedy we Frankfurcie nad Menem, ani z rządowymi czynnikami w Warszawie (rząd londyński był wówczas jeszcze uznawany przez mocarstwa zachodnie), podjąłem samodzielnie decyzję powołania do życia centralnej siedziby dziennikarzy polskich, a następnie Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech. W tym celu otrzymałem ze strony władz brytyjskich przepustkę do strefy amerykańskiej i zgodę na tankowanie po drodze benzyny do auta (z niezliczonej ilości aut niemieckich porzuconych w lasach, „zorganizowane” i dysponowane przez mój „urząd” w Helmstedt), po czym z małą ekipą ludzi przeznaczonych do załatwiania spraw technicznych (bo nie byli to dziennikarze) udałem się do Frankfurtu, po drodze tworząc tymczasowy komitet organizacyjny zjazdu syndykatu z trzech dziennikarzy przedwojennych przypadkowo napotkanych w Braun-

schweigu i w Celle. Mając takie, chociaż nader kruche, zaplecze nawiązałem we Frankfurcie kontakt z szefem misji polskiej (z Londynu) płk. Janem Kaczmakiem (b. przedwojennym prezesem Związku Polaków w Trzeciej Rzeszy), ale nie doznałem tu żadnej pomocy poza życzliwymi słowami otuchy i zachęty; nie uzyskałem nawet benzyny do auta, którą poza strefą brytyjską nabywaliśmy od Murzynów za wino. Samodzielnie znaleźliśmy przysłą siedzibę Domu Dziennikarzy Polskich w uroczej miejscowości Eppstein w górach Taunus, w rejonie nazywanym niemiecką Szwajcarią. Do ogółu dziennikarzy polskich w trzech zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec Komitet Organizacyjny zjazdu dziennikarskiego dotarł przy pomocy w tym samym czasie wydawanego i redagowanego przeze mnie tygodnika „Polska”, kolportowanego w całych Niemczech zachodnich. Żadnej innej drogi do nawiązania kontaktu z dziennikarzami rozszanymi w setkach obozów albo mieszkającymi prywatnie nie posiadaliśmy. Echo było powszechne. Okrążyło w siedem miesięcy potem, w lutym 1946, odbyło się pierwsze walne zebranie Syndykatu Dziennikarzy Polskich, w którym uczestniczyło kilkudziesięciu dziennikarzy przedwojennych i wojennych, m.in. z prasy podziemnej i z prasy wydawanej w Niemczech, przedtem zweryfikowanych przez komisję, złożoną wyłącznie z dziennikarzy przedwojennych, b. członków ówczesnych syndykatów dziennikarskich. Już na tym pierwszym zjeździe w Eppstein zarysowały się niedobre tendencje ze strony grupy dziennikarzy proveniencji endeckiej, którzy zaproponowali mi, abym — mimo iż byłem organizatorem Domu Dziennikarzy, zjazdu i Syndykatu — zgodził się, by prezesem organizacji został Wojciech Zaleski, znany i wybitny dziennikarz przedwojenny, mieszkający w Monachium i nie uczestniczący dośłownie w żadnej mierze w akcji organizacyjnej syndykatu. Oczywiście nie zaaprobowałem tej sugestii, uznając ją za niemoralną, skoro kluczem w tej sprawie miałyby się stać przynależność do takiej lub innej partii, bez żadnego wkładu we współpracę w organizowaniu akcji. Ja miałem być zastępcą Zaleskiego, z siedzibą w Eppstein, gdzie istniały wszystkie przeze mnie zorganizowane warunki działania, natomiast Zaleski miał od czasu do czasu dojeżdżać do siedziby syndykatu. Nie zachęciła mnie ta perspektywa wysługiwaniania się komuś dlatego, że był endekiem, a ja nim nie byłem: Skończyło się na moim wyborze na prezesa organizacji.

Grupa endecka miała swoją siedzibę w Quackenbrueck w strefie brytyjskiej, gdzie znajdowała się polska Dywizja Pancerna, z której usług wszelkiego i wszechstronnego typu korzystała zadomowiona tam grupa dziennikarzy endeckich, wśród nich przede wszystkim Wojciech Wasutyński, Witold Olszewski i ks. Józef Warszawski. Z grupą tą — nie wiadomo na jakiej zasadzie ideowo-politycznej — współdziałał znany i wybitny dziennikarz lwowski (z „Wieku Nowego”) Adam Nechay, nie tylko nie endeck, ale jak najbardziej antyendeck i liberał, nie mający nigdy żadnych powiązań z endecją. Ci trzej dziennikarze (ponieważ Nechay był tylko tzw. strohmanem) stanowili w strefie wyłącznie brytyjskiej sztab grupy dziennikarskiej, i to nader nielicznej, bo zaledwie kilkunastoosobowej. W oparciu o ten zespół endecy ze strefy brytyjskiej, korzystając z obfitej pomocy Dywizji Pancernej, powołali do życia najniepotrzebniej w świecie drugi syndykat, który miał być konkurencją syndykatu eppsteinowskiego, ale nigdy się nim nie stał, ponieważ cała inicjatywa okazała się niewypałem. Dwa syndykaty jednak istniały. Bezsporną wszakże reprezentacją zorganizowanego dziennikarstwa polskiego w powojennych Niemczech zachodnich był i pozostał Syndykat Dziennikarzy Polskich w Eppstein i tak się zapisał na kartach dziejów dziennikarstwa emigracyjnego pomimo bardzo uporczywych prób przemilczania go (jak w W. Brytanii na łamach tamtejszego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, jak również w części strefy brytyjskiej, w której większość dziennikarzy polskich należała jednak od początku do syndykatu eppsteinowskiego).

Cały ten incydent stał się dowodem, że istnieją nadal w społeczności polskiej

żywiły niepoprawne, które niczego nigdy się nie nauczyły. Zamiast jednoczyć siły, skupiać je i wzmacniać, grupa z Quackenbrueck przez kilka lat uprawiała kampanię nie mającą żadnych rzeczowych motywów i racji uzasadniających funkcjonowanie dwu syndykatów. Decydującą rolę w stanowisku grupy antyeppsteinowskiej odegrały przedwojenne jej animozje do inicjatora syndykatu w Eppstein i sztucznie podtrzymywana fama, że syndykat ten jest placówką sanacji. Należy stwierdzić, że w tym pomówieniu nie było ani słowa prawdy, że żaden sanacyjny czynnik — ani londyński, ani lokalny w Niemczech — w żadnej postaci ani przez chwilę nie współdziałał z inicjatywą eppsteinowską; że od pierwszej chwili powstania syndykatu w Eppstein należeli do niego wszyscy endecy dziennikarze ze strefy amerykańskiej, skupieni głównie w Monachium, i że dopiero znacznie później placówka w Eppstein nawiązała kontakty z Londynem, oczywiście nie tylko z kołami sanacyjnymi, ale wielu innymi, nic z sanacją nie mającymi wspólnego. Przez cały okres istnienia syndykatu w Eppstein kierowano z jego strony apele, stale bezskuteczne, o ścisłą współpracę na terenie dziennikarskim, o połączenie obu syndykatów itp. Był to więc klasyczny i godny ubolewania przykład zapiekłości i uporu.

Fragment poświęcony w książce Hładkiewicza prasie polskiej nie wyczerpuje oczywiście problemu, ale — jak wspomniałem — stanowi bardzo zachęcający impuls dla opracowania szerokiego i szczegółowego tego tematu.

Oto jak charakteryzuje autor rolę prasy polskiej w trzech strefach okupacyjnych Niemiec wydawanej tam po II wojnie: „Prasa polska wydawana na terenie zachodnich stref okupacyjnych Niemiec odegrała wielką i niekwestionowaną rolę w utrzymaniu szeroko rozumianej polskości. Abstrahując w tym miejscu od treści politycznych lansowanych przez szereg czasopism, należy stwierdzić, że pisma te w wydatnym stopniu były propagatorem polskiej literatury, poezji, muzyki, malarstwa, teatru. Drukowano na ich łamach w odcinkach powieści klasyków literatury polskiej w kraju oraz na wychodźstwie. Odnotowywano wszelkie nowości wydawnicze. Niektóre z pism prowadziły stałe dodatki literackie, w których publikowano utwory pisarzy emigracyjnych lub też omawiano ważniejsze wydarzenia literackie. Umacnianie polskości przez popularyzację dorobku polskiej kultury łączyło się z dążeniem niektórych redakcji pism (np. „Lech” i „Kronika”) do zaznajamiania odbiorców z historią Polski oraz polskiej emigracji politycznej. Szereg pism prowadziło stałe działy historyczne. Odegrały one dużą rolę w podtrzymywaniu świadomości narodowej, formowaniu postaw ideowych oraz kultury historycznej. Szeroko podejmowane sprawy kraju ujmowano w różnych aspektach: historycznym, politycznym, kulturalnym, gospodarczym i oświatowym”.

Warto tu dodać chociaż najogólniej, że pod względem politycznym prasa polska w okupowanych Niemczech, aczkolwiek w zasadzie krytyczna wobec nowej rzeczywistości politycznej w Polsce, różniła się wydatnie w akcentach reprezentujących to stanowisko. Niektóre z pism wypowiadały poglądy skrajnie antykomunistyczne, ale inne zajmowały stanowiska umiarkowane i bardziej rzeczowe, a nawet obiektywne, przynajmniej w niektórych zagadnieniach, jak np. społecznych i gospodarczych. Analiza tego problemu zasługiwałaby na bliższe zbadanie i wszechstronniejszą ocenę.

Książka jest pracowita, bardzo ambitna, wartościowa i godna uwagi. Opinię tej nie zmieniają nieliczne nieścisłości czy błędy. I tak Jerzy Ponikiewski, wydawca „Kroniki”, współpracował z wywiadem tylko amerykańskim, a nie brytyjskim (s. 93); Tadeusz Piszczkowski, prominent endecji w Londynie, nigdy nie był zwoleńnikiem Międzymorza (Intermarium), jak zresztą cała endecja nie należała do jego wyznawców, a uwaga Piszczkowskiego zacytowana przez Hładkiewicza (s. 95) ma charakter ironizujący, a nie aprobujący ideę międzymorską (Piszczkowski uznał za zaletę Międzymorza to, że ma ono swoich fanatyków, ale niczego poza tym, a już szczególnie szans realizacji, w czym miał i ma nadal pełną rację).

Są to jednak drobiazgi. Ogólnie oceniając pracę młodego autora Wiesława Hładkiewicza, należy wysoko ją zakwalifikować, w pełni uznać ją za duże osiągnięcie godne pochwały i uznania. Zarówno dla autora, jak i wydawcy.

Klaudiusz Hrabyk